

Początek.

Zacznę od tego, że nie zawsze było mi po drodze do kościoła. Będąc dzieckiem wychowywała mnie i siostrę mama (rozeszli się z tatą, gdy miałam rok). Mama nauczyła mnie, że do kościoła "trzeba chodzić". Nie było w tym żadnej głębi, po prostu chodzimy i już. Nie rozmawiałam z mamą na temat wiary i czym ona jest. Nawet nie bardzo wiedziałam, że takie coś jak wiara istnieje.

Do kościoła chodziliśmy z mamą, gdy byliśmy małe, potem mama wysyłała nas same - bo tak trzeba. I tu się zaczęły schody. Pierwszy bunt, niezrozumienie - bo, po co my mamy chodzić skoro mama nie musi. Zawsze miała wymówkę, że obiad, że innym razem, że złe samopoczucie itd. Zaczęłam traktować chodzenie do kościoła, jako coś, co muszę, czego nie rozumiem. Nawet nierzadko zdarzało się tak, że zamiast iść do kościoła szłam z siostrą do parku.. Pierwszą Komunię świętą przyjął, bo wszyscy przyjmowali. Nie mając większego pojęcia, co to jest? Na religię chodziłam do salek, jak przez mgłę kojarzę, o czym były te lekcje - utkwiała mi w głowie jedna z pieśni "Wiele jest serc", która na przestrzeni mojej młodości bardzo często go mnie wracała w myślach. I tak to wyglądało mniej więcej do pełnoletności. Nie było wiary tylko po prostu obowiązek. Tak bym to ujęła najkrócej. Gdy już byłam dorosła oczywiście nadal grzecznie chodziłam do kościoła, bo mama kazała, ale zaczęło coś pękać, zaczęłam wsłuchiwać się w to, co mówił ksiądz, zaczęłam obserwować ludzi, skupiać się na czynnościach. Zaczęło mi się to nawet podobać.

Miłość:

Byłam już dorosła, miałam 19 lat i jak grom z jasnego nieba przyszła pierwsza miłość. Poznałam mojego przyszłego męża. Kościół był dla niego ważny, wierzył Bogu i chodzenie do kościoła traktował bardzo poważnie. Podobało mi się to. Zaczęłam dostrzegać różnicę między jego chodzeniem do kościoła, a moim. Zwróciłam uwagę na fakt, że jego rodzina była głęboko wierząca, tam wszystko było takie inne, tam nie było przymusu, zimnych czynności. Powoli odkrywałam, czym jest wiara.

Życie:

Potem był ślub, 3 dzieci. Zostałam mamą i teraz ja byłam tą, która uczy chodzenia do kościoła. To był sprawdzian - jak ja to przekaże, co z tym zrobię. Teraz to widzę, ale wtedy nie wiedziałam, że moja świeża wiara jest płytka, bez korzeni. Zajął się obowiązkami, mąż miał firmę. Do kościoła chodziliśmy jednak z czasem rzadziej, aż po około 5 latach małżeństwa kościół przestał dla nas istnieć. Firma męża przynosiła straty, był bunt do Boga. Pytaliśmy: Gdzie On jest, dlaczego nie pomaga. Na Mszę chodziliśmy razem jedynie, gdy byliśmy u teściów na wspólnym obiedzie. Tymczasem nasza sytuacja finansowa bardzo się pogorszyła. Zamieszkaliśmy z teściami. To było dobre. Wróciła cotygodniowa Msza Święta. W miarę spokojne, stabilne życie. Mieszkaliśmy wtedy w Dąbrowie Górniczej. W międzyczasie wspólnie z mężem zdecydowaliśmy, że on wyjedzie pod Kielce na wieś, aby rozpocząć nowy biznes - hodowlę ślimaka jadalnego.

Przemiana:

Na wsi pod Kielcami mąż miał babcię, która mieszkała w małym drewnianym domu. Dom bez kanalizacji, bez łazienki - trudne warunki porównując do miastowych. Tam zaczął pracę: bez narzędzi, bez prądu - tylko łopata, grabie i taczki. Nie było tam tv, piec na węgiel i staruszka (babcia prawie 90lat), którą się opiekował no i oczywiście kościół, który co niedzielę odwiedzał. W tych warunkach mąż się nawrócił. Dostrzegł błędy sprzed lat, spokorniał, uspokoił się i przede wszystkim widział we wszystkim działanie Boga. Ja w tym czasie studiowałam pedagogikę i mieszkalam z teściami. Widywaliśmy się średnio, co 2 tygodnie. Mój mąż zaczął mi opowiadać o swoich doświadczeniach Boga, że ja też powinnam Go

dostrzec - ale ja czułam presję, nie chciałam, nawet bym mogła powiedzieć, że mój mąż wydawał się dziwny. Z czasem do "nowego" Rafała (imię męża) przywykłam. Studiowałam 3 lata, w tym czasie mąż był u swojej babci, wtedy też ona zmarła. Mocno to przeżył, był wtedy zupełnie sam. Po pół roku przeprowadziłam się do niego z dziećmi i zaczęliśmy nowy rozdział w życiu - na wsi.

Mama:

Mieszkając u teściów w międzyczasie dowiedziałam się o nowotworze mojej mamy. Klasyczne "zagranie" Boga - mama właśnie wtedy Go odkryła, kim jest i na czym to wszystko polega - to, czego nie przekazała będąc młodszą i mając małe dzieci. Jednym słowem zaczęła nowe życie... i pokonała raka.

Prezent:

Pewnego dnia mieszkając już na wsi dostałam od mamy przesyłkę. Niedużą książkę zapakowaną w kopertę, na której było napisane kilka słów, m.in.: „Nie odkładaj tej książki na półkę”. Nie spojrzalam nawet na tą książkę, skupiłam się na tekście i tym żeby jej nie schować. I tak ją przekładałam ze stołu na szafkę, z szafki na stół, ale jej nie schowałam. Może jakieś 2 tygodnie później rzuciłam okiem na tytuł. Nowy Testament. Otworzyłam i po prostu zaczęłam czytać. To był punkt zwrotny. Nie mogłam się oderwać, czytałam wszędzie i ciągle. Gdy gotowałam, gdy stałam na przystanku, przed snem, po przebudzeniu. To było niesamowite. Nie mogłam się nadziwić, że to, co czytam gdzieś podświadomie znam właśnie z lekcji religii, z kościoła, że nie są to obce treści a najbardziej byłam zaskoczona, że to wszystko jest w Nowym Testamencie, który generalnie do tej pory dla mnie nie istniał. Nie bardzo nawet miałam świadomość, co to jest - taka była moja wiedza wyniesiona z młodych lat. Od tej lektury Pisma Świętego wszystko się zaczęło. Miałam niesamowity "głód" Boga, chciałam wszystko wiedzieć. Oczywiście poszerzałam wiedzę czytając Biblię, opracowania, książki napisane przez świętych, prasę katolicką itd.

Pragnienie:

Ten zwrot w życiu otworzył mi na nową potrzebę - bycia we wspólnocie, w oazie lub w podobnej formacji. Szukaliśmy trochę z mężem, ale mieliśmy ograniczenie dojazdowe i urodziło się czwarte dziecko a to nas najbardziej blokowało. Modliłam się do Boga, żeby coś w życiu na mojej drodze postawił, coś gdzie będę mogła wzrastać w wierze, gdzie mogę też się czegoś dowiedzieć, nauczyć, poszerzyć relację z Nim.

Telefon:

Jakiś czas po moich modlitwach otrzymałam telefon od proboszcza z mojej parafii. Wiedział, że mam ukończone studia pedagogiczne i zapytał czy chcę zostać katechetką. Nie wierzyłam w to, co słyszę. Ja? Katechetką? Ja sama potrzebuję kogoś, kto mnie poprowadzi, a co dopiero samemu "być przewodnikiem" w wierze. Miałam mętlik w głowie, nie widziałam się w roli nauczyciela, gdy ja sama jeszcze byłam niedouczona. Na drugi dzień była niedziela, byłam umówiona na drugie czytanie na Mszy Świętej – od nawrócenia zaczęłam czytać lekcje na Mszach. Ćwiczyłam w zakrystii dykcję i zaniemówiłam. Przeczytałam zdanie: **Świadom jestem ciężącego na mnie obowiązku. Biada mi, bowiem, gdybym nie głosił Ewangelii!** To fragment Czytania z Pierwszego Listu Świętego Pawła Apostoła do Koryntian. Wiedziałam, co mam zrobić, wiedziałam, że to do mnie. Nie śmiałam dyskutować z Tym, który to zaplanował. Te słowa nadały kierunek na ciąg dalszy. Po niedzieli zapisałam się na studia podyplomowe, które dwa lata później ukończyłam. W międzyczasie urodziłam piąte dziecko. Gdy najmłodszy poszedł do przedszkola ja poszłam do pracy. Tak to się zaczęło...